

Kucyk Orła nie pokona!

Rozdział I

Kac Wawa 1939

Przedstawionych poniżej rzeczy nie zalecamy robić w domu.

Ani poza nim.

Ani nigdzie indziej.

W sumie to nigdy.

Zwłaszcza jeśli macie mechy bojowe.

I Wieniawę, oczywiście.

W sumie to jeśli będziecie mieć Wieniawę, to on i tak to robi za was...

PS – sprzedam francuskie mechy bojowe. W dobrym stanie, doskonale działa mechanizm podnoszenia rąk do góry i megafon, przez który można krzyczeć „poddaję się”.

PPS – uprasza się o niewyłączanie komentarzy – przywilej ten przysługuje autorom i Wieniawie. Chyba że ktoś chce stać się bohaterem drugiej części Cupcakes... gdzie mordercą będzie Wieniawa.

Wieniawa – pokazuje światu, dlaczego niektórzy faceci wolą mężczyzn od kobiet. Mrrrr.

Jak powszechnie wiadomo, jedynym powodem, dla którego w 1939 Wieniawa, były pułkownik, samodzielnie nie odparł inwazji niemieckiej, było to, że napastnicy nie zagrozili Adrii, bo w tym wypadku ten wielki człowiek by błyskawicznie pokonał dystans od Rzymu do Berlina i własnoręcznie skopał Hitlera.

Myślicie, że Rainbow Dash jest 20% cooler? Ha, Wieniawa jest 200% cooler! A i tak to mniej procentów, niż jest w stanie przyjąć jego organizm.

Chuck Norris – bo Amerykanie też chcieli mieć kogoś takiego jak Wieniawa. Niestety, wyszła im tylko kiepska podróbka.

Warszawa, 20 IX 1939, 18:00

– Za zwycięstwo! – krzyknął prezydent Mościcki, wznosząc do góry kieliszek. W jego ślady poszli zebrani w sali balowej Pałacu Saskiego oficerowie, którym towarzyszyli zaproszeni członkowie FOL i dwie klacze. Były to, oczywiście, Lyra i Spitfire – Hitleriny, wciąż mającej pewne problemy natury egzystencjalnej, nikt nie zamierzał tu zapraszać.

– Całkiem niezłe – ocenił po cichu Kutrzeba, na tyle głośno, by Filipowski zdołał go usłyszeć. – Chociaż osobiście preferuję gruzińskie... szkoda, że Gruzja jest okupowana.

– Słyszał pan marszałka. W 1941, dokładnie za dwa lata, będzie pan pił gruzińskie wino na balu zwycięstwa w Moskwie. – Dowódca FOL poklepał generała pocieszająco po ramieniu. – Do tego czasu wyprodukujemy dość HUSARZy-1, by wybić Sowietom z głowy wojaczkę na najbliższe tysiąclecie.

Tymczasem niedaleko od tej dwójki Lyra chyba właśnie mocno naruszyła protokół dyplomatyczny.

– No proszęęęę... jedno przytulenie? – Zachęcająco wyciągnęła w stronę głowy Rzeczypospolitej jedno kopytko. Mościcki nie miał jak się bronić, dystygowanym ruchem odłożył pusty już kieliszek, zrobił „d’awwwww”, pochylił się i krótko przytulił klacz. W tym samym czasie Spitfire dyskutowała z Rómmlem o znaczeniu oddziałów szybkiego reagowania.

– Panie Prezydencie. – Gdy Lyra już poszła szukać innej ofiary, do Mościckiego podszedł jakiś ubrany w garnitur mężczyzna. – Pilny telefon od premiera, jest pan wzywany do Pałacu Namiestnikowskiego.

– Tak późno? – zdziwił się prezydent. – Czego chcą?

– Zdaje się, że chodzi o sytuację w Niemczech.

– Rozumiem... – zasępił się Mościcki, po czym zwrócił się do zebranych. – Przepraszam panie i panów, jednak zmuszony jestem opuścić wasze towarzystwo. Żałuję, że nie będę mógł dłużej z wami świętować ni kierować dalszym przebiegiem uroczystości...

– Bez obaw – uspokoił go generał Dąb-Biernacki. – Przewidziałem to i zawczasu znalazłem kogoś, kto z chęcią pana zastąpi. Ma dużo doświadczenia w tej dziedzinie. Zaraz powinien się zjawić.

– Aha. Czyli nie będzie państwu przeszkadzało, jeśli na chwilę zniknę?

– Oczywiście, że nie, panie prezydencie.

– Cóż... dziękuję zatem! Życzę miłej zabawy! – zakończył Mościcki i skierował się w stronę wyjścia. Zebrani w sali goście spojrzeli wyczekująco na Biernackiego, sądząc, że ten od razu zapozna ich z nowym przewodniczącym balu, jednak generał tylko podszedł do okna i wpatrywał się w mrok. Po chwili z ulicy dobiegł ich odgłos odjeżdżającego samochodu prezydenta. Biernacki odczekał jeszcze chwilę, po czym zbliżył się do jednego ze stołów.

– Możesz już wyjść – powiedział.

Wtedy spod stołu wyszedł pięćdziesięcio-, może sześćdziesięcioletni mężczyzna w mundurze kawalerzysty, cały obwieszony medalami. Wstał, otrzepał się, chwycił karafkę z winem, nalał nieco alkoholu do kieliszka, po czym przyssał się do karafki.

– Jezus Maria... – wyrwało się Zającowi. – Przecież to...

– Tak jest! – stwierdził nowy uczestnik balu, który w międzyczasie wykończył karafkę. –

Generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski, były pułkownik, we własnej, wspaniałej osobie! Panowie, panie – dodał, kłaniając się lekko klaczom. – Obiecałem mojemu przyjacielowi, Stefciowi, że dopilnuję wysokiej jakości tego balu. Zadbam między innymi o waszą trzeźwość. Nikt nie będzie pił więcej ode mnie, słowo honoru!

Faktycznie, Wieniawa słowa dotrzymał. Pół godziny później na każde trzy wypite przez towarzystwo butelki, dwie zostały osobiście opróżnione przez starego ułana. Na chwilę obecną większość zebranych bawiła się w jednym końcu sali – przy czym w wypadku Lyry i Jeziorańskiego ta zabawa przybrała dosyć bezpośrednią formę, czytaj: siedzieli na kanapie i całowali się namiętnie, ignorując nader zdziwione otoczenie – podczas gdy nowy przewodniczący balu przygotowywał jakiś napój przy stoliku z alkoholami. Asystowała mu przy tym Spitfire.

– Ouzo! – poprosił mężczyzna na tyle cicho, by inni go nie słyszeli. Pegaz szybko wybrał odpowiednią butelkę i podał ją człowiekowi. Długoszowski odkorkował ją sprawnie, sprawdził, czy aby na pewno dobra, po czym przełał część zawartości do dużego naczynia, w którym znajdowało się już kilka innych gatunków alkoholi. Była to stara, popularna w barach i pijalniach Warszawy zabawa – do kieliszków nalewało się takie wina i wódki, by pierwsze litery ich nazw utworzyły jakiś wyraz. Osoba pijąca miała następnie ów wyraz odgadnąć.

– Dobrze, teraz... rakija! – wydał rozkaz, który klacz szybko wykonała.

– Co teraz? – spytała Spitfire, gdy rakija dołączyła do pozostałych składników mieszanki.

– Teraz należy im to trochę utrudnić. Każdy w tym mieście wie, że w tej grze zawsze zaczynam od Nabuchodonozora.

– Może dodaj jedną literę nadprogramową? – zasugerowała klacz.

– O, i to jest pomysł! Tylko co by tu... – Wzrok Wieniawy spoczął na niepozornej butelce rodem z XXI wieku, dostarczonej przez Filipowskiego. Wziął ją do ręki i odczytał nazwę. – „Finlandia”... Hm, to może być dobre... – stwierdził, po czym wlał całą zawartość butelki do naczynia. – No, tego na pewno nie zgadną!

– A nie wydaje ci się, że to może być za mocne? – Spitfire wyraziła swoje wątpliwości. Wówczas kawalerzysta uśmiechnął się serdecznie.

– Jeszcze takiej wody nie zrobili, po której nie mógłbym stać na nogach! No dobra. Zapraszam towarzystwo!

Na dany przez Wieniawę znak biesiadnicy zbliżyli się i krytycznym spojrzeniem ocenili pracę polsko-kuczego zespołu.

– Dobra... – mruknął Śmigły. – Co to ma być?

– Słownik, panie marszałku! – odparł kawalerzysta. – Zna pan tę zabawę?

– Znam, ale czy alkohole składające się na hasło nie powinny być podane w oddzielnych kieliszkach, a nie w jednej misce?

– O... No cóż, skoro gra się nie udała, to chociaż wypijmy to, co stworzyliśmy. Panno Spitfire, proszę zamieszać eliksir!

Klacz chwyciła leżącą gdzieś łyżkę i zaczęła nią energicznie mieszać ciecz. Wszelkiej maści wódki i likiery zaczęły się ze sobą mieszać, tworząc substancję niezidentyfikowanego koloru.

– A teraz, pani i panowie – zaczął Wieniawa – moja urocza asystentka i ja rozdzielimy między was zawartość kociołka Wieniawy, by każdy z was mógł skosztować tego nektaru bogów! – powiedział, po czym zaczął rozlewać napój do kieliszków i rozdawać zebranym.

– Nie wiem, czy to na pewno dobry pomysł... – stwierdził Filipowski, odbierając swoją porcję wywaru. Długoszowski, skończywszy rozdawać swoje dzieło, podał kieliszek Spitfire, po czym sam nalał sobie do szklanki.

– Daj pan spokój – powiedział ułan. – Co złego się może stać? Zresztą, przekonajmy się. Panie i panowie! Za nas, tu zebranych!

Wszyscy zbliżyli kieliszki do ust, przechylili i przełknęli...

...

– Więc mówicie, że w przyszłości ślimak będzie rybą?

...

– Ale w Gruzji dobre wina mieli!

...

– Halo, zoo? Macie może zebry? ... To dajcie jedną do telefonu, bo nie mamy rymu do biskupa!

...

– A ty wolisz dżem truskawkowy!

...

– *Bratia atamany*, ale impreza!

– Ano racja, Władimirku kochany, impreza prima sort!

...

– Rómmel, od kiedy umiesz chodzić po suficie?

...

– Lyrą, włóż skarpetki...

...

– Chodź, Rydzyku, stara grzybiarka chętnie cię zerwie...

...

– Jeziorański, zdejmij skarpetki...

...

– KAPITAN Jack Sparrow!

...

– Że niby co, że mi się nie uda? MI SIĘ NIE UDA?

...

Warszawa, chyba 21 IX 1939, godzina zdecydowanie zbyt wczesna

Jeziorańskiego obudził tępy, ciągle dający o sobie znać ból głowy, połączony z trzaskiem zamykanych drzwi. Ostrożnie otworzył oczy...

– Co tu tak ciemno jakoś? – zastanowił się. Walcząc ze złośliwą grawitacją, chwycił się fotela. Wtedy odkrył, że jest całkiem jasno, po prostu zasypiając, zakrył głowę jakimś kocem. Następną rzeczą, którą odkrył, było pobojowisko, w którym nikt nie rozpoznałby sali balowej.

Wszędzie walały się szczątki mebli i zastawy stołowej, zaś w rogu pomieszczenia dostrzegł porzucony silnik. Skąd on się tam wziął – tego Jeziorański powiedzieć nie potrafił. Między resztkami sprzętu leżały zwłoki.

Chrapiące zwłoki.

– Przedobrzyliśmy... – skomentował cicho Jeziorański. Naraz drzwi otworzyły się z hukiem i do sali wszedł jakiś adiutant. Szybkim krokiem zbliżył się do jednego ze śpiących biesiadników, na głowie którego lśniła dziwnie znajoma korona ze złota i z wprawionym w nią niebieskim klejnotem.

– Panie marszałku... Panie marszałku...

– Czego? – spytał marszałek słabym głosem.

– Pilny raport ze sztabu Wołyńskiej Brygady Kawalerii! – powiedział przybysz, stukając przy tym obcasami i podając kartkę naczelnemu wodzowi. Śmigły drżącą ręką sięgnął po meldunek, po czym zbliżył go do swoich umęczonych oczu. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, adiutant raz jeszcze stuknął obcasami i wyszedł, zbyt głośno zamykając drzwi.

– Piszą coś ciekawego? – spytał jakiś żeński głos z okolic sufitu. Jeziorański spojrzał w górę i zobaczył leżącą na żyrandolu Spitfire.

– *Punkt trzeci planu wykonany, przystępujemy do dalszych działań* – odczytał głośno Śmigły. Nie zrozumiał nic, odwrócił kartkę, jakby spodziewając się, że znajdzie tam dalszy ciąg wiadomości, jednak ta była pusta. – Jakiego planu? Ktoś coś wie?

– Nie-e – odpowiedzieli zebrani. Kutrzeba wstał ze swojego miejsca, po czym zbliżył się do leżącej na podłodze butelki i zarekwirował ją. Kiedy zawartość naczynia znalazła się w najlepszym dla niej miejscu, generał przebiegł wzrokiem po zebranych.

– Pytanie za sto punktów! Gdzie jest Lyra, Sosnkowski, Rómmel i Jeziorański? – spytał.

– Jestem tutaj – przypomniał mu ten ostatni. Kutrzeba spojrzał w jego stronę. Oczy generała rozszerzyły się w zdumieniu, jednak szybko pojawił się w nich błysk zrozumienia.

– Ach, więc to się naprawdę stało... – powiedział.

– Co? – zapytał Jeziorański, machając przy tym ogonem z wyraźną dezaprobatą.

Zaraz...

– CO WYŚCIE MI ZROBILI! – ryknął niegdyś wzorowy FOLowiec, a obecnie słodki,

jasnozielony jednorożec z ciemnozieloną grzywą. – CO ZA BAŁWAN SKOŃCZONY PODAŁ MI ELIKSIR!

– Jakby ci to powiedzieć... – zaczął Filipowski, spoglądając na swój poplamiony tablet. – Wszystkie eliksiry ponifikujące są zamknięte w naszym sejfie. Nie ubyło ani jednego.

– Czekaj... – Twarz Jeziorańskiego zmarszczyła się, kiedy jego umysł próbował przetworzyć tę informację. Dla wspomnienia procesu myślowego sięgnął magią po karafkę, jednak ta zamiast do niego przelewitować, upadła na podłogę. – To znaczy, że skuczyłem się sam? Jak?

– A skąd mam to wiedzieć? – powiedział jego szef, z uporem wpatrując się w ekran. – Może mi ktoś powiedzieć, dlaczego data na moim tablecie jest ustawiona na 14 marca 1640, do której to daty ktoś dopisał notatkę „*Urodziny waćpanny, poszukać prezentu w Stambule*”?

– Nie wiem, przestaw sobie – przerwał mu Śmigły. – Dzisiaj jest dwudziesty pierwszy. Rok też podać, czy będziesz szukał Władysława IV? – zadrwił. W tym samym momencie drzwi znowu otworzyły się i do środka wpadł kolejny adiutant.

– Szukam pana Jeziorańskiego – powiedział.

– To ja. – Wzmiankowany kuc wstał z miejsca. Podoficer popatrzył na niego, jednak najwyraźniej wiedział już o stanie, w jakim znalazł się FOLowiec, szybko bowiem ochłonął.

– Zgodnie z poleceniem znalazłem odpowiedniego człowieka, który zgodził się to zrobić. Papiery legalizujące wasz czyn będą do odebrania w poniedziałek. Przy okazji, depesza od pułkownika Maczka. Pyta, czy ruszać naprzód.

– Ruszać! – palnął bez namysłu Dąb-Biernacki. Adiutant stuknął obcasami, zasalutował i wyszedł, nim ktokolwiek zdążył zadać mu jakiegokolwiek pytanie.

– Co ruszać? – spytał Filipowski. – O co chodzi?

– Nie wiem – przyznał generał. – Ale kto się nie rusza, ten stoi w miejscu, a kto stoi w miejscu, ten się cofa, nie?

– Jakież to głębokie – skomentował jakiś głos zza stołu. – Aż trzeba całego uniwersytetu, by to pojąć – z tymi słowy zza mebla wyrzwał Wieniawa. – Witajcie w moim świecie – dodał na widok współbiesiadników.

– TY! – krzyknął Jeziorański. – To twoja wina! Przez ciebie jestem teraz taboretą!

– Jeziorański, cicho! – uciszył go Kutrzeba. – A ty, Wieniawa, mów lepiej, czy coś

pamiętasz!

– Jak już mówiłem, nie ma takiej wody, która sprawiłaby, że bym zapomniał – pochwalił się pierwszy hulaka Warszawy.

– Świetnie. Co się wczoraj działo?

Wieniawa otworzył usta, by coś odpowiedzieć, jednak wstrzymał się i po chwili namysłu rzekł:

– Nie pamiętam...

– No zamorduję go... – warknął Biernacki. – Gdzie moja szabla?

– Przepiłeś ją w nocy, nie pamiętasz? – zauważył Długoszowski.

– Spokój, panowie – uciszył ich Śmigły. – Spokój. Sytuacja jest zbyt tragiczna, by się teraz o to mordować. Musimy ustalić, gdzie są Lyra, Sosnkowski i Rómmel oraz skąd te wszystkie meldunki. A, no i ktoś musi pomóc Jeziorańskiemu zapoznać się z nowym ciałem – dodał, widząc, jak jednorożec próbuje magią chwycić jakąś butelkę. – Podzielmy się obowiązkami. Filipowicz, zajmij się nowym kucykiem i dopadnij Rómmła. Wieniawa, Spitfire, znajdźcie pozostałą dwójkę. Biernacki? Ty otrzymasz najważniejsze, najbardziej odpowiedzialne zadanie, od którego zależy los całej Rzeczypospolitej: znajdź aspirynę albo ogórki kiszzone. A najlepiej jedno i drugie. Reszta spróbuje odkryć, co się dzieje. Wykonać!

– Tak jest! – krzyknął Długoszowski. W jedną rękę wziął pętko zawiniętej w gazetę kiełbasy, drugą chwycił Spitfire i przerzucił ją sobie przez ramię, po czym ruszył w stronę drzwi. Rydz spojrzał na pozostałych biesiadników.

– A wy na co czekacie? – spytał. – Na kawę i ciastka? Zaproszenie mam wypisać i kurierem przysłać? – Zaczął wymachiwać rękami, jakby chcąc zapędzić generałów do roboty. Coś zjechało mu na czoło. Marszałek chwycił to w dłoń, zdjął z głowy i popatrzył się uważnie. – A co to za korona i skąd się wzięła?

Jednak jego współpracownicy zdawali się go nie słuchać. Zamiast tego wpatrywali się w leżące na stole mięsa, a dokładniej rzecz biorąc na gazety, w które zawinięte były te przysmaki. W końcu Filipowski sięgnął po podwawelską i po rozwinięciu papieru zaczął czytać na głos.

– Dwudziesty czwarty września 1939... Jezu, świętowaliśmy trzy dni...

– *POLSKA OD MORZA DO OCEANU?*

– *KOLEJNA ZWYCIĘSKA WOJNA!* – Kutrzeba przeczytał fragment kolejnej gazety.

– *TO BYŁ POMYSŁ DMOWSKIEGO!* – dodał Dąb-Biernacki, który trzymał w rękach pierwszą stronę jakiegoś endeckiego pisma.

Jeziorański z kolei wpatrywał się w egzemplarz czasopisma, którego wydawca po prostu musiał mieć jakieś kontakty z wywiadem radzieckim. Poplamiona tłuszczem strona tytułowa głosiła:

***ROBOTNICY ŚWIATA POTĘPIAJĄ AGRESJĘ POLSKICH JAŚNIEPANÓW NA
MIŁUJĄCY POKÓJ KRAJ RAD!***

Pod nagłówkiem umieszczono zdjęcie Stalina, stojącego na podwyższeniu i przemawiającego do zgromadzonego na Placu Czerwonym tłumu. Mimo oddalenia, jedną ze stojących między zgromadzonymi Rosjanami postaci Jeziorański rozpoznał od razu, jednak nie mogąc uwierzyć własnym oczom, przywołał do pomocy Filipowskiego. Ten wziął magazyn do ręki, przez chwilę przyglądał się zdjęciu, po czym stwierdził:

– Co w Moskwie robi Pinkie Pie?

Warszawa, na pewno 24 IX 1939, godzina nieco mniej wczesna

Filipowski nie był pewien, czy jest już do końca trzeźwy po kilkudniowej libacji. Niby chodził prosto, mówił całkiem normalnie, ale to, co teraz robił, świadczyło, że może mieć pewne problemy z logicznym myśleniem.

– Smycz nie była konieczna – syknął wściekły Jeziorański, truchtając przez miasto razem ze swoim szefem z FOL. Nie do końca jeszcze kontrolował swoje nowe ciało, więc miał kiepskie tempo, ale ćwiczył.

– Cicho, według prawa kucyki to wciąż zwierzęta, a nie chcemy zadzierać ze strażą miejską – syknął człowiek, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia przechodniów. Zerknął w stronę jakiejś pary z dzieckiem i uśmiechnął się przepraszająco. – Wojsko polskie, szukamy z psem tropicielem zaginionego. Nie widzieliście państwo generała Rómmła? – pokręcili głową. Sam westchnął ciężko i potrząsnął smyczą – No nic, bardzo dziękuję. Szukaj piesku, szukaj... – rzucił swojemu towarzyszowi.

– A obyś się bigosem udławił – mruknął cicho świeżo upieczony kuc. Nie był nawet do końca przekonany, czy mieli wtedy już straż miejską.

– Kogo ja widzę! Filipowski! – Dwójka FOLowców usłyszała nagle znajomy głos od strony jednego z aut. Popatrzyli w tamtą stronę i dostrzegli za oknem jednej z limuzyn znajomą

postać doktora Szawińskiego, twórcy maszyny czasu i od jakichś trzech lat jednego z najlepiej opłacanych uczonych w Polsce, o ile nie na świecie. Nie wyglądał na zadowolonego, ale mimo to i tak skrócili dystans. – Możesz mi powiedzieć, czemu jakiś generał wpadł mi do laboratorium? I co to za kuc, bo takiego jeszcze nie widziałem? – zapytał mało życzliwym tonem.

– Jeziorański jestem – burknął konwertyta. Naukowiec spojrzał na niego z lekkim szokiem na twarzy, a potem wyraz zagniewania ustąpił miejsca rozbawionemu uśmieszkowi.

– Ach... nie powiem, to dość radykalny sposób, by pominąć niektóre problemy z prawem, ale, mam nadzieję, skuteczny – odpowiedział. Kuc postawił od razu uszy na sztorc.

– Ale ja nie mam żadnych proble... – zaczął, ale jego dowódca mu przerwał.

– O co chodzi z laboratorium? – zapytał szybko. Jego podwładny zamknął szybko pyszczek i tylko w myślach zastanawiał się, o co niby chodziło doktorowi.

– No, wpadł do mnie, naprany jak nie wiem co, dopadł superkomputer, na którym pracuje program mający wyliczyć te wszystkie rzeczy z Barierą i tak dalej, by ludzkość nie wyginęła za te kilkadziesiąt lat, i jak gdyby nigdy nic odpalił sobie na nim *Super Mario Bros!* Na najbardziej zaawansowanym komputerze w historii ludzkości, grę z 1985 roku! – Szawiński aż zatrząsł się z oburzenia. Obaj FOLowcy wstrzymali oddech. – Program dalej działa, bez obaw – zauważył to widocznie, bo szybko uzupełnił. Odetchnęli z ulgą. – Na szczęście potem zgodził się wziąć Super Nintendo 3DS, które miałem ze sobą. Bogu dzięki, skończyłem już z nim pracować.

– Pracować? – zagadnął zainteresowany Filipowski. Dowiedzieli się, co z Rómmlem, to mogli powoli wracać do Belwederu i mieć spokój...

– Ano, bo zanim jeszcze wpadł ten generał, to podskoczył do mnie sam marszałek, powiedział, że polskie dzieci zasługują na coś tak fajnego jak program bojowy HUSARZa-1 i kazał mi zrobić po jednym mechu dla każdego ucznia szkoły podstawowej. Zmienił zdanie dopiero, gdy mu konsolkę pokazałem, ale mam teraz zrobić lokalną wersję. Ma się nazywać „Śmigacz” – westchnął ciężko. – No, miło się rozmawiało, ale muszę jechać do pracy. Staram się z kilkoma osobami z naszych czasów zrobić tę zabaweczkę jak najszybciej, razem z zestawem jakichś gier na start. Mają być rozdawane za darmo, uwierzycie? – Pokręcił z podziwem głową. – Wszystko albo za środki z reparacji wojennych, albo za zyski z gwałtownego skoku technologicznego, jaki niedługo zafundujemy Polsce. A teraz do widzenia. – Wyprostował się na swoim fotelu pasażera i powiedział coś do kierowcy. Włączony silnik warknął. Sam doktor obejrzał się jeszcze raz na towarzyszy z przyszłości. – A, Jeziorański, jeszcze raz dziękuję za propozycję! Mam nadzieję, że będziecie ze sobą szczęśliwi! – rzucił.

– Chwila, ale o czym... – zaczął kuc, ale nim dokończył, auto odjechało. Zaklął cicho pod

nosem i zerknął na Filipowskiego – O co mu mogło, motyla noga, chodzić? – jęknął.

– Możesz mi przypomnieć, gdzie idziemy? – spytała Spitfire idącego obok Wieniawę. Wzdrygnęła się, słysząc w oddali grzmot zwiastujący nadchodzącą burzę.

Jakąś godzinę temu oboje wymknęli się z Belwederu i ruszyli na miasto. Kawalerzysta najwyraźniej znał drogę, prowadził bowiem pegaza sobie tylko znanymi ścieżkami, zahaczając przy tym o jedną, dwie piwiarnie. W międzyczasie z przeczytanych w drodze gazet dowiedzieli się, że celebracja zwycięstwa nad Rzeszą nieco się przeciągnęła.

– Tak sobie pomyślałem – zaczął polski pierwowzór Kapitana Ameryki i Chucka Norrisa – że na sali bankietowej było za mało zaopatrzenia, byśmy świętowali kilka dni, zatem po prostu musieliśmy wyjść na miasto po materiały. A jeszcze się nie zdarzyło, bym spacerował po Warszawie i nie zaszedł do mojej Mekki, gdzie cała śmietanka towarzyska Warszawy zbiera się wokół wiecznego źródła wody życia, toteż tam właśnie dowiemy się, co wczoraj robiliśmy! A miejsce to zwie się... O cholera – rzucił, gdy tylko wyszli zza rogu.

Stanęli przed frontem okazałej budowli, do której co i rusz wchodzili elegancko ubrani panowie. Kilku robotników demontowało właśnie zamontowany na ścianie neon obwieszczający przechodniom, że w tym miejscu znajduje się słynna na całą Polskę kawiarnia Adria.

Pierwsze krople deszczu spadły na ulicę.

– Panowie, co to ma znaczyć! – krzyknął Wieniawa, z rozpaczą machając rękami. Łzy bezsilnej złości pociekły mu po twarzy. – Przecież żartowałem, jak mówiłem, że jak zniknę na dwa dni, to Adria zbankrutuje!

– A idź pan gadać z kierownikiem – rzucił majster, nawet się nie odwracając. Deszcz nasilał się z każdą chwilą. – My tu ciężko pracujemy.

Spitfire w ostatniej chwili złapała zębami za płaszcz gotowego do walki Wieniawy i odciągnęła go od robotnika.

– Wiem, że to dla ciebie trudne... – zaczęła klacz.

– Nie wiesz – odparł Wieniawa. Pozbawiony wszelkiej nadziei generał, były pułkownik opadł na kolana, nawet nie przejmując się czymś tak trywialnym jak kałuża, i tępym wzrokiem wpatrywał się w wyłączony neon. – Adrio, moja Adrio, czemuś mnie opuściła! – krzyknął, przekrzykując odgłos uderzającego o bruk dżdżu.

– Niestety, Adria nas opuściła! – Spitfire okrążyła swojego towarzysza i spojrzała mu w twarz. – Teraz jedyną rzeczą, jaką możemy zrobić, jest odpowiednie pożegnanie jej. Widzisz, jeszcze możesz ostatni raz się w niej napić; wciąż wchodzi tam klienci.

Klacz pomogła Długoszowskiemu wstać. Z trudem uniosła się w górę; deszcz zmoczył jej sierść i pióra, utrudniając latanie. Człowiek spuścił głowę i ruszył w stronę wejścia.

Gdy weszli do środka, oboje stanęli jak wryci. Czy rozkoszowali się panującym wewnątrz ciepłem, czy też może zaskoczył ich panujący na sali tłok? A może to wiszący na ścianie i otoczony wieńcem portret Wieniawy?

Nie zastanawiali się nad tym długo, gdyż ktoś zaczął do nich machać, zapraszając ich do stolika.

– Przyszlście zapłacić za mój garnitur, co? – spytał, gdy podeszli bliżej. – Bo jak nie, to tak was obsmaruję w następnym utworze, że wasze wnuki będą się wstydzić!

– Taa... – zaczęła klacz, gdy Wieniawa, sięgnął po portfel.

– Proszę – rzekł generał, podając mu plik banknotów. – Coś ciekawego się w mieście dzieje? Nie jestem na bieżąco... – dodał. Pomógł Spitfire usadowić się na krześle, po czym sam usiadł na drugim.

– Poza drobnym zamieszaniem związanym z wojną i twoimi, Bolciu, wyczynami, to nic ciekawego – stwierdził. – No, machnąłem jeden artykuł do gazety, ale się nie ukazał, bo powody. O, popatrz, jaką mi odpowiedź napisali!

Mówiąc to, wyciągnął z kieszeni zmięty list, ewidentnie zaadresowany do niego, który zaczynał się słowami *Szanowny panie Tuwim...*

– Współczujemy, ale możesz nam łaskawie powiedzieć, co takiego się działo w ciągu ostatnich trzech dni? – Wieniawa oddał poecie list. – Zacznij od najważniejszego.

– Więc dwudziestego pierwszego w gazetach pojawiło się obwieszczenie, w którym marszałek Rydz-Śmigły nawoływał do marszu na Moskwę... Właściwie to czego tam szukacie? Mało wam Hitlera? Jak już mówiłem, w gazecie...

– Nie to! – przerwał mu były pułkownik. – Od najważniejszego powiedziałem! Co z Adrią!

– Ach, to! – Uśmiech poety zrobił się jeszcze szerszy. – Zaczęło się zaraz tego samego dnia, co wojna z sowietami. Siedziałem w Adrii, tak jak teraz, i piłem kawę. Nagle słyszę, jakieś zamieszanie przy drzwiach, ktoś krzyczy, ktoś biegnie, wrzask niesamowity. Nagle wpadasz ty,

Bolciu, dosiadając tu obecnej panienki – tutaj mężczyzna skinął głową w stronę klaczy. – Wciąż lecąc, zrobiliście kilka rundek wokół sali; to wtedy poplamilem mój garnitur kawą. Krzyczeliście przy tym... Czekaj, co to było... – Tuwim przerwał na chwilę swą opowieść, wstał i rzekł na tyle głośno, by słyszała go cała sala. – Szanowni państwo, pamiętacie może, co wrzeszczeli nasz ukochany marszałek i panna Spitfire w czasie oblotu Adrii?

– WIENIAWABOLTS! – Chór głosów był był tak silny, że z pewnością dało się go słyszeć co najmniej w sąsiedniej kamienicy.

– Dziękuję! – Tuwim usiadł i podjął przerwany wątek. – Jak już wylądowaliście, ogłosiliście powstanie nowej formacji i z tej okazji postawiliście wszystkim kolejkę. A potem jeszcze jedną. A potem następną. Jak już mieliście zafundować dziesiątą, wpadł generał Sosnkowski, prosząc, by go odwiedzić na Okęcie.

– Czemu tam?

– A żebym to ja wiedział. – Tuwim machnął ręką. – Mówił coś o paleniu i togach.

– Dobra, czyli odpowiedź na mniej ważne pytanie już mamy – stwierdził Wieniawa. – A teraz gadaj, CO Z ADRIĄ?!

– Ach, to! To miał być prezent. Nasz szanowny gospodarz uznał, że trzeba cię uhonorować. Zmieniamy nazwę na Rozkosze Marszałka.

Na wieść o tym, że jego ukochana kawiarnia, jego drugi dom, jego ziemia święta nie jest zagrożona i nie zostanie zamknięta, generał odetchnął z wyraźną ulgą.

– Było tak od razu... Dziękuję wam wszystkim! – krzyknął Wieniawa na całą salę. – Obiecuję, że będę tu przychodził jeszcze częściej!

– Wstawić łóżko? – mruknął pod nosem agent.

– A ty, Julian – ciągnął szczęśliwy oficer – masz u mnie minus. Nie dlatego, że mi o tej niespodziance nie powiedziałaś, ale dlatego, że mylisz mój stopień. Patrz – sięgnął do kieszeni i wyjął wizytówkę. – Widzisz, co tu jest napisane? *Generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski, były pułkownik!*

– Mówisz? – Tuwim wyrwał mu papier z dłoni, obrócił i podetknął Wieniawie pod nos tak, by ten mógł zobaczyć umieszczony na niej napis.

**MARSZAŁEK BOLESŁAW WIENIAWA-DŁUGOSZOWSKI, BYŁY GENERAL I BYLSZY
PUŁKOWNIK**

Mniej więcej w tym samym czasie, kwatera główna Naczelnego Wodza

Marszałek Edward Rydz-Śmigły oniemiał, gdy jego wzrok spoczął na trzeciej stronie Gazety Polskiej. Gwałtownym ruchem wyrwał ją z rąk Kutrzeby.

– Panowie, więcej z wami nie piję – stwierdził. – A z Wieniawą to już szczególnie.

– Akurat wytrzymasz... – mruknął Zajęc. – Coś się stało?

– Sam zobacz. – Marszałek rzucił mu gazetę. Nagłówek artykułu, który tak rozsierdził Rydza-Śmigłego, głosił:

WIENIAWA MARSZAŁKIEM POLSKI!

Moskwa

Sytuacja wyglądała źle.

Stalin siedział w swoim gabinecie, z wściekłą zadumą obracając w dłoniach niewielki arkusz papieru. Nie był pewien, czemu go po prostu nie zniszczył w pierwszej chwili wściekłego szału, który miał miejsce przy pierwszej wieści o inwazji – może chodziło po prostu o jego niezrozumiałą treść?

„Oddafajcie gruzińskie wina, czerwone szóje” – to na pewno nie było normalne wypowiedzenie wojny. Zresztą, nawet on uznałby to za niesmaczny dowcip kogoś z obsługi ambasady i zadbałby o to, by populacja planety szybko zmniejszyła się o kilku żartownisiów, ich rodziny, przyjaciół i zwierzęta domowe, gdyby niedługo po odebraniu wiadomości nagle w Gruzińskiej SRR nie wylądował HUSARZ-1 z wgranymi tekstami o „Niezrównanym smaku z gruzińskich winnic” czy „Dwa tysiące osiem – nigdy nie zapomnimy”. Zwłaszcza to drugie brzmiało dziwnie.

A było tak blisko! Tak blisko! Wywiad zawałił sprawę po całości, był przekonany, że polscy faszyci nie zaatakują przed 1941, nawet nie zaobserwowano powrotu większości ich wojsk z Niemiec, gdy nagle uderzyli z zaskoczenia. Armia Czerwona nie była gotowa i nawet mimo przewagi liczebnej nie zdołano powstrzymać natarcia nowoczesnych sił. Na szczęście już za niedługo do walki miał wejść najnowszy efekt połączonych wysiłków wywiadu, naukowców i zbrojeniówki...

– *Od ucha do ucha śmiej się dziś z ducha...*

... ale nawet niespodziewany atak, nawet utrata Gruzji, nawet fakt, że czerwonoarmiejcy szybciej się poddawali niż Polacy byli w stanie ich odsyłać do obozów jenieckich nie był tak straszny jak TO.

– STRAŻ! TO ZNOWU ONA! – wrzasnął dyktator, przerażony nagłym pojawieniem się w jego polu widzenia różowej istoty. Szybko odrzucił kartkę i sięgnął do szafki biurka.

– *Chichocz niby chomik, gdy głupi duch cię goni...* hmmm, dreszcz, szczęknięcie zębów, zapowietrzenie się... masz broń! – wyrzuciła z siebie błyskawicznie bestia z trzema balonami w tylnych okolicach. Stalin nie wiedział, skąd się wzięła i jakim sposobem od dnia inwazji hasa sobie wesoło po Kremlu i okolicach, ale przerażała go jak jeszcze nic w świecie. Chwycił pistolet i wycelował.

– Won, potworze! – wrzasnął przeraźliwie, naciskając spust.

– Ale... ja tylko... chcę cię... pocieszyć! – Niewiadomym sposobem każdy pocisk był unikany przez podskok lub inny błyskawiczny, prawie niedostrzegalny ruch ciała jego „gościa”. Wreszcie broń zaklikała głucho, obwieszczając koniec amunicji. Różowy czworonóg przestał skakać i wbił w niego spojrzenie swoich ogromnych, wysysających duszę, przerażających oczu.

– Chciałam cię tylko pocieszyć, bo widziałam, że jesteś smutny... ale chyba wolałeś zostać panem markoooooooootliwym – odpowiedziała, przeciągając ostatnie słowo. – Ale nie musiałeś wyciągać tego metalowego czegoś, to niegrzeczne. – Zszokowany nieskutecznością broni Stalin patrzył z narastającym strachem, jak grzywa stworzenia prostuje się sama z siebie. Z korytarza słyszał tupot nóg, miał nadzieję, że to jego ochrona. – Jeszcze się spotkamy. Zobaczysz, co to znaczy być niemiłym dla Pinkaminy – dodał sucho różowy stworek i, jak gdyby nigdy nic, otworzył okno w gabinecie i przez nie wyskoczył.

Okęcie, Warszawa

Deszcz wciąż bębnił w okna biura dyrektora lotniska, wprowadzając zebranych w melancholijny nastrój. Na szczęście zadbane pomieszczenie było solidnie ogrzane, więc Wieniawa i Spitfire mogli spokojnie raczyć się herbatą i ciasteczkami w towarzystwie ich gospodarza. Ten nieco otyły mężczyzna wpatrywał się w nich z odrobiną strachu, którego nie potrafił ukryć. Jako pierwsza jego rozterki zauważyła klacz.

– Coś się stało, panie Kalina? – spytała. – Ma pan jakiś problem?

– Co... Nie, żadnego... Znaczy tak... Znaczy... Ech, szkoda gadać.

– Może uda nam się jakoś pomóc? – Wieniawa upił nieco herbaty. – W końcu wie pan, pan przecież zna Wieniawę!

– Znam, i to aż za dobrze – stwierdził smutno pan Kalina. – Pana, panie marszałku, pannę Spitfire i generała Sosnkowskiego. Ledwie wczoraj odebrany samolot LOTu, prosto z ponemieckich zapasów, porwaliście!

Wieniawa podrapał się po głowie.

– Hm, nie pamiętam...

– Ale ja pamiętam. Przyjechaliście tu wieczorem i kazaliście szykować samolot. Nie mogę, mówię, nie mamy wolnych pilotów! A wy do mnie z gębą, jak w jakimś zakichanym Gombrowiczu, że musicie, bo Sosnkowski do Rzymu musi lecieć! Próbowałem protestować, ale machnęliście tylko ręką i wsadziliście generała do samolotu! A on jak nie pójdzie! Przez chwilę bałem się, że do hangaru wleci, ale nie, skubany, zakręcił w ostatniej chwili i poleciał zygzakiem na południe!

– Do Rzymu? – Klacz zerknęła na swojego towarzysza. – Więc mamy jakiś trop!

– O ile się nie rozbił gdzieś po drodze – w co wątpię, po moim eliksirze można zdziałać cuda! – to dorwiemy go we Włoszech! Panie Kalina, chcielibyśmy wynająć jeden z pańskich...

– NIE! – wrzasnął dyrektor lotniska. – Już jeden mi zgubiliście! Nie dam wam ani jednego więcej! Słyszysz pan! Ani! Jednego! Więcej!

– Może takiego małego? – spróbował świeżo upieczony marszałek, wkładając w to całą swoją charyzmę.

– NIE!

– Maluteńkiego?

– NIE!

– Nawet najmniejszego? – Wieniawa sięgnął po ostateczny środek perswazji. Złapał Spitfire w pasie i podsunął do twarzy wściekłego dyrektora. Klacz szybko zrozumiała plan marszałka – stanowczo za dużo przebywa z Polakami – i zrobiła najśłodsza minę, jaką potrafiła.

– NIE DAM WAM NAWET WRÓT OD STODOŁY!

– To może chociaż telefon?

Kalina jeszcze przez chwilę dyszał ciężko, w końcu jednak wskazał na stojący na biurku aparat telefoniczny. Wieniawa podniósł słuchawkę i wykręcił odpowiedni numer.

– Centrala? – powiedział w końcu. – Poproszę ze sztabem... Jak to jakim? Rydza-Śmigłego! Dziękuję uprzejmie... Witam, generale Zając, co tam u was? To dobrze. Wiemy, gdzie może być Sosnkowski, ale potrzebujemy, byś zapewnił nam transport lotniczy do Rzymu... Tak, do Rzymu. ... Jak to nie masz! Musisz coś mieć! ... Dziękuję, łaskawco!

Wieniawa odłożył słuchawkę i westchnął cicho.

– Generał Zając upoważnił mnie do skorzystania z samolotu testowego – powiedział w końcu. – Kazał przekazać, że pan Kalina będzie wiedział, o który chodzi.

Na twarzy Kaliny pojawił się szczerzy, słowiański uśmiech.

– Oczywiście. Proszę za mną.

– Tym mamy lecieć? – spytała Spitfire na widok nowoczesnego samolotu odrzutowego skonstruowanego w układzie delta. Maszyna była cała czarna, sprawiała wrażenie szybkiej i niezawodnej.

– Nie, to tylko atrapa, która ma przyciągnąć inwestorów. – Kalina uśmiechnęła się szeroko. – Polecicie tym.

Wskazał palcem na stojącą trochę dalej maszynę, która wyglądała nieco gorzej. Przy czym słowo nieco powinno być wymawiane z odpowiednio dużą dozą sarkazmu.

Dla Spitfire samolot przypominał nieco awionetki, które widziała czasem w XXI wieku. Wyglądał, jakby miał się zaraz rozpaść. Cały jego kadłub był pozbijany z różnych elementów, które konstruktorzy mieli akurat pod ręką. Dwa podwieszone pod skrzydłami silniki były zdecydowanie zbyt duże jak na rozmiar maszyny.

Wieniawa z kolei był kawalerzystą, nie znał się na lotnictwie, więc dla niego samolot kojarzył się jedynie z trumną.

– To pan pozwoli, że pójdę na piechotę – powiedział słabym głosem. – Dołączę do jakiejś pielgrzymki...

– O nie, panie marszałku – przerwał mu Kalina, podczas gdy dwóch rosyjskich mechaników chwyciło go za ręce. – Przez pana straciłem piękny samolot, ślicznego junkersa, więc teraz pan cierp.

Mężczyźni pociągnęli Wieniawę w stronę maszyny i bezceremonialnie wrzucili go do środka. Spitfire przyglądała się temu, uśmiechając się z wyraźną ulgą.

– Jak to dobrze, że mam skrzydła...

– Ale i tak polecisz – mruknął dyrektor lotniska, chwytając klacz za ogon. Nie minęła chwila i szamoczący się pegaz dołączył do oficera Wojska Polskiego. Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

– Gotowi do startu? – spytał ktoś z przodu samolotu i zza kotary wyłoniła się pocieszna i życzliwa twarz jakiegoś mężczyzny. – Witam na pokładzie Sokoła Millenium!

– Kto, do diabła, wymyślił taką durną nazwę? – zastanowiła się Spitfire.

– Główny inżynier oglądał filmy z przyszłości – wyjaśnił mężczyzna. – Nazywam się Franciszek Dolas i będę dziś waszym pilotem. Cieszycie się? ... Nie? Ja też nie. To mój pierwszy w życiu lot...

Oczy obojga członków Wieniawabolts powiększyły się ze strachu.

– Zaraz, jak to pierwszy?

– A, jakoś tak wyszło... Zaczęło się od tego, że strzeliłem do jakiegoś Niemca i przypadkiem rozpętałem wojnę, Bogu dzięki wygraliśmy, a potem to się jakoś tak potoczyło... A wy już lataliście?

– Czymś takim? – Spitfire rozejrzała się. Wnętrze samolotu wyglądało jeszcze gorzej. – Nigdy. Jakim cudem to się jeszcze nie rozpadło?

– Dobrze słowo, kilo gwoździ i dwa metry taśmy klejącej, proszę pani – stwierdził Dolas. – Co prawda gwoździe z odzysku, ale jakoś sobie poradziliśmy. A teraz radzę się modlić, bo dostałem zgodę na start. Proszę zapiąć pasy!

Jego pasażerowie rozejrzeli się, jednak nigdzie nie było widać siedzeń.

– Zabrakło środków w budżecie – rzekł spytany o to Dolas.

Sokół Millenium powoli ruszył wzdłuż pasa startowego. Potężne cielsko samolotu zaczęło trzeszczeć i trząść się, gdy koła oderwały się od ziemi. Terkot pracującego silnika był głośny, ale nie mógł zagłuszyć zmawianej przez pilota modlitwy...

Gdy po kilku minutach samolot uspokoił się na tyle, by nie trzeba było obawiać się

natychmiastowej śmierci z powodu eksplozji, rozerwania kadłuba lub zwykłego zawału, Wieniawa i Spitfire odetchnęli z ulgą i przestali się do siebie tulić. Z kabiny znowu wyrżał Dolas.

– Wszyscy cali?

– Tak. Na szczęście już po wszystkim.

– Haha! Nie – stwierdził pilot. – Wystartowaliśmy na zwykłym silniku. Teraz pora odpalić te podwieszane.

– Zaraz, dlaczego odpalamy je dopiero teraz? – spytał Wieniawa.

– Bo poprzednie prototypy wybuchaly w czasie testów naziemnych – odparł Dolas tonem zdecydowanie zbyt wesołym. – No, poza jednym, który rozpadł się przy starcie. A teraz trzymajcie się... Uwaga, odpalaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa...!

Odrzut rzucił oficerem i pegazem do tyłu. W ostatniej chwili Wieniawa chwycił się jakiegoś wystającego elementu, drugą ręką łapiąc klacz. Przez chwilę marszałek myślał, że nic złego już się nie stanie, że przeżyli już najgorsze.

W tym samym momencie tylna część kadłuba z trzaskiem oderwała się i odleciała do tyłu.

– Coś zgubiliśmy? – wrzasnął ze sterówki Dolas, jednak z powodu hałasu nie zdołał usłyszeć soczystej wiązanki przekleństw, jaką rzucił mu Wieniawa.

Rzym, dużo, DUŻO później

– Ale jest jedna dobra wiadomość – mruknął Dolas. – Pobiliśmy co najmniej kilka rekordów prędkości.

– Ja ci dam, ty...! – Wieniawa zaczął się szamotać, próbując zdzielić pilota pięścią. Delikatnie, tak, by miał nauczki na przyszłość.

– Spokój, panowie! – wysapała Spitfire, z trudem łapiąc oddech. – Już i tak... HYP! ... ledwo was niosę... HYP!

Eksperymentalny samolot Polskiego Lotnictwa Wojskowego rozpadł się ostatecznie gdzieś nad Adriatykiem. Dolas twierdził, że doleciałby i do wybrzeża, gdyby Wieniawa nie zaczął majstrować przy hamulcach, ale kto by go tam słuchał, zwłaszcza jak po zbyt gwałtownym skręcie nad Jugosławią w wykonaniu Dolasa stracili połowę kadłuba – co jeszcze

dało się przeżyć – wraz ze skrzydłem – co dało się przeżyć jakby mniej. Szczęśliwie Spitfire zdołała ich złapać i przenieść aż do Rzymu. Wieniawa czuł, że chyba jest jej coś winny...

W końcu cała trzyosobowa grupka wylądowała w stolicy Włoch.

Przechodnie zatrzymywali się, by obejrzeć, jak istota z innego wymiaru powoli opada na ulicę Wiecznego Miasta, niosąc ze sobą dwóch mężczyzn. Kilka osób zaczęło robić zdjęcia; wokół nich zaroilo się od reporterów.

Taka powinna być prawidłowa reakcja mieszkańców w każdym typowym mieście Europy.

Rzym w tamtej chwili takim typowym miastem nie był.

Całe miasto śmierdziało spalenizną. Gdzieś dało się dostrzec łuny pożarów, z którymi bohatersko walczyła straż pożarna. Jeśli jakiś Włoch w ogóle spojrzał w stronę polskiej delegacji, to zaraz uciekał z krzykiem.

– Tak, Sosnkowski na pewno już tu był – stwierdził Wieniawa. – Spitfire, chodź, poszukamy go. A ty, Dolas, znajdź jakiś transport. Byle nie latający; jak znajdziemy cię w promieniu kilometra od jakiegokolwiek samolotu, to obiecuję, że cię zastrzelę!

Grupa rozdzieliła się. Spitfire zbyt słabła w czasie lotu, więc Wieniawa musiał wziąć ją na barana i nieść przez miasto jak małe dziecko. A ponieważ był już tu wcześniej, postanowił jakoś uprzyjemnić jej tę podróż.

– Tutaj widzimy Koloseum, a tam Panteon... No, to kiedyś był Panteon... – stwierdził na widok kupki gruzu, która kiedyś mogła być zabytkiem, ale równie dobrze mógł to być jakiś dom. – A tutaj... O, znalazła się zguba!

W ruinach jakiejś świątyni siedział Sosnkowski. Odziany w zastępujące mu togę prześcieradło i z wieńcem laurowym na głowie mężczyzna wciąż wyglądał na nie do końca trzeźwego. Lyra trzymana w ręku wydawała śmieszne dźwięki, gdy miział ją swymi paluszkami, śpiewając przy tym.

Przybieżeli do Betlejem pasterze!

Grają skocznie dzieciąteczku na lirze!

– Ale tu nie jest Betlejem! – krzyknął rozpaczliwie jakiś przywiązany do słupka ogier, który wziął się tam nie wiadomo skąd.

– Wiem, Muss, że to Tirana! Myśli, że mapy nie znam?

– Wygląda na to, że dobrze się bawicie – powiedziała Spitfire, nie kryjąc przy tym

rozbawienia.

Wtedy to ogier zauważył nowo przybyłych. Iskierka nadziei pojawiła się w jego oczach.

– Ratujcie! – wrzasnął rozpaczliwie. – Poddaję się, tylko go stąd zabierzcie!

– Mnie też! – dodała Lyra. – Łaskocze mnie już trzeci dzień! Ej, gdzie ty te palce pchasz!

– *Płonieeeee ognisko... w leeeeecie!*

– Ha, pełny pakiet! – mruknął Wieniawa. – Sosnkowski znaleziony, Lyra znaleziona, Mussolini się poddał. E, Neron! – krzyknął w stronę generała. – Słyszysz mnie?

– *Prawy do lewego, tyknij kolego!*

– Czyli nie.

Polski superheros podszedł do zawodzącego towarzysza i chwycił go pod ramię. Lyra spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Chodź, Neronciu – mruczał pod nosem. – Spalimy jakiś Rzym... – dodał, wywołując tym samym krzyk rozpacz u skuczonego dyktatora – ... pośpiewamy... – Tym razem to Lyra jęknęła ze zgrozy. – I napijemy się.

– Alle będę mógł pogradzić na liirze?

– Wiesz, raczej nie... – stwierdziła główna zainteresowana. Łzy zamigotały w oczach samozwańczego cezara Rzymu.

– Ale za to mamy Finlandię!

– O jakież artysta ginie we mnie! – zajęczał generał, po czym pociągnął łyk z podstawionej mu butelki.

Powoli ruszyli na poszukiwania Dolasa, zostawiając pokonanego, skuczonego Mussoliniego samego.

– Każdy szczęściu dopomoże, każdy dzisiaj wygrać może... O, witam marszałka!

Pilot znalazł się w najbliższym porcie, otoczony przez znaczny tłum włoskich marynarzy, którzy przekrzykiwali się wzajemnie. Jak zdołał dostać się tak daleko w tak krótkim czasie,

pozostawało jego słodką tajemnicą.

– Ano. Znalazłeś jakiś transport?

– Oczywiście, panie marszałku! – Dolas uśmiechnął się i zaczął odpędzać zebranych wokół Włochów. – Widzi pan tamtą zatoczkę i stojące na niej jednostki?

– Widzę. – Wieniawa spojrział na kilkadziesiąt statków różnej wielkości, między którymi uwijały się okręty Regia Marina. – Udało ci się jakiś wynająć?

– Lepiej! Wygrałem okręt.

– Statek, szeregowy, statek. Okręty są uzbrojone i należą do floty wojennej, więc raczej go nie wygrałeś. – Były generał i bylszy pułkownik wołał nie wiedzieć, jakim cudem ktoś taki jak Dolas zdołał okantować całą załogę jakiejś łajby. – Który dokładnie jest nasz?

– Oczywiście, panie marszałku, statek, nie okręt. Statek nazywa się Giuseppe Garibaldi, wyporność standardowa...

– Zaraz, stop – przerwał mu Wieniawa. – Wygraliście w karty krążownik?

– Tak jest, panie marszałku. Piękny, jeszcze pachnie świeżą farbą! Szybki, solidnie uzbrojony...

– Dobra, nie chcę nic więcej wiedzieć. Zabieramy się stąd, zanim zorientują się, co się stało. Dolas, masz urzędowy zakaz grania ze mną w jakiekolwiek gry hazardowe!

Warszawa

Śmigły-Rydz odetchnął z ulgą. Właśnie dostał depeszę od Wieniawy... marszałek, też coś, teraz będzie musiał sobie wymyślić jakieś nowe stanowisko, by było wiadomo, kto tu rządzi... depeszę o pomyślnym zakończeniu zadania. Zając wprawdzie nie był zbyt zadowolony z powodu utraty cennego prototypu samolotu, ale za to kontradmirał Świrski wręcz podskakiwał na myśl o nowym krążowniku. No i wszyscy już powinni być w komplecie...

Ledwo o tym pomyślał, gdy zadzwonił telefon. Marszałek podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Dzień dobry, czy pan marszałek Edward Rydz-Śmigły?

– Przy telefonie.

– Chciałbym poinformować, że przybędę jutro rano do sztabu. Mam do was mały interes. Aha, przyprowadzę wam jednego kucyka, rodowita Equestrianka, którą zgubiliście. Już nie musicie jej szukać – dodał tajemniczy jegomość, po czym rozłączył się.

– Zaraz... Przecież wszystkie kucyki już mamy...

Dalsze rozmyślania zostały mu po raz kolejny przerwane przez wejście posłańca z pilną wiadomością.

– Panie marszałku, meldunek z frontu. Nasze wojska są już pod Moskwą.

Ciąg dalszy nastąpi

[UWAGA BONUS! Opowiadanie absolutnie apolityczne, którego nawet nie można podejrzewać o wypowiadanie się na tematy polityczne i które nikogo nie urazi.](#)